

Ludzie na sprzedaż

Handel niewolnikami w XX stuleciu

Zdawałoby się napozór niemożliwym, że w XX stuleciu, w epokę tak wielkiego rozwoju kultury, może istnieć jeszcze handel niewolnikami. A jednak, niestety, handel niewolnikami jest faktem, który istnieje, i to faktem zupełnie oficjalnie sankcjonowanym na terenie Afryki. Centralą handlu czarnymi niewolnikami jest Marokko, a w Marrakesz istnieje specjalne targowisko, gdzie sprzedaje się masowo murzynów i Arabów. Procedura handlu jest najzupełniej nieskomplikowana. Nabywca ogląda towar, płaci po dłuższym targowaniu się pewną sumę i młody Negr, czy Arab staje się własnością swojego pana. Myłby się ten, kłoby przypuszczał, że smutna książeczka dla dzieci „Chata wuja Toma” jest odzwierciedleniem tragicznej, ale minionej przeszłości. Cóż znowu! Handel niewolnikami jest nadal okrutną, zdawałoby się nieprawdopodobną, rzeczywistością.

NA TARGOWISKU W MARRAKESZU

Targowisko w Marrakesz przedstawia obraz nieprawdopodobnie tragiczny. Przedewszystkiem więc uroczyste rozpoczęcie targów. 7-miu przeznaczonych na sprzedaż murzynów wznosi do nieba czarne bezbronne dłonie. Błagają zawadzą dziwny śpiew do nieznanego bóstwa i proszą, aby bóstwo dało im dobrych panów. Skolei zawadzą swój śpiew handlarze. Są to murzyni lub Arabi, którzy według przyjętego na targowisku obyczaju, proszą swoje bóstwo lub Allacha o to, aby się trafił dobry nabywca, aby zarobek był duży.

Wokół targowiska moi nabywcy niewolników przysiedli na ziemi lub stoją obok swoich koni i wielbłądów. Są to przeważnie przybysze z górnego Atlasu, biblijni patriarchowie z długimi brodami. Niektórzy z nich czytają w skupieniu Koran, inni zaś wiedzą ze sobą poważne rozmowy, zdając się nie patrzeć na prezentowanych przez siebie handlarzy, wystawionych na sprzedaż niewolników. Ale od czasu do czasu, kiedy na znajdującym się pośrodku targowiska wzniesieniu, skleconym z desek, ukazuje się jakaś młoda dziewczyna lub pięknie zbudowany murzyn, podnoszą szybko po wieki i oceniają wartość towaru.

A tymczasem rozgrywa się coś w rodzaju licytacji. Młoda, przestraszona murzynka stoi właśnie na wzniesieniu. Handlarz krzyczy:

— Kto da więcej za tę czarną perłę?

Znalazł się amator na czarną perłę, a uliczny pisarz spisuje przy stoliku kontrakt kupna.

W 15 KRAJACH KWITNIE HANDEL CZARNYMI

Targowisko w Marrakesz nie jest jedynym targowiskiem tego rodzaju na świecie. Niewolnicy sprzedawani są, jak podaje nowojorski „Current History”, w 15 krajach, a niektóre z nich należą do Ligi Narodów. M. in. handel niewolnikami kwitnie w Liberji, która jest członkiem Ligi Narodów i nie jest to tajemnicą, że komisja międzynarodowa, po przebadaniu śledztwa, stwierdziła, że rząd Liberji popiera handel niewolnikami, wysyłając całe transporty czarnych do niektórych kolonii, a zwłaszcza dostarczając towar dla plantatorów portugalskich.

Podobnie sprawa przedstawia się i w Abisynji, gdzie znajduje się ni mniej ni więcej, tylko 2 miliony niewolników, nabytych na różnych targowiskach Afryki. Handlem zajmują się niektórzy wodzowie tamtejsi, urządzając zbrojne napady na pomniejsze miasteczka i wsie. Oczywiście, że przy tego rodzaju wyprawie wioska zostaje podpalona, starcy wymordowani, a młodzi ludzie, kobiety i dzieci, pędzeni wielkimi gromadami na najbliższe targowisko.

Są to istne polowania na towar ludzki. Sprawa ta poruszona była już w parlamencie angielskim, iż od niejakiego czasu na terytorium brytyjskim w Afryce bandy Etiopów coraz zuchwalej napadają na spokojnych mieszkańców wiosek. Według sprawozdania, złożonego w parlamencie brytyjskim przez lorda Hilshama, jedno z plemion zamieszkujących w Abisynji, trudniące się specjalnie handlem niewolnikami, sprzedało w ciągu ub. roku 600 niewolników. Niedawno zaś urządzili krwawy napad na jedną z wiosek w dolinie Nilu górnego, skąd porwali 27 kobiet i 50 dzieci.

Na skutek tego wszczęta została specjalna akcja, która jednak narazie nie daje wielkich wyników, gdyż handlarze niewolnikami są nie tylko rozzuchwaleni ale i doskonale zorganizowani. Akcję rządu brytyjskiego popierają niektórzy z monarchów państw afrykańskich. Wybitną rolę w tej humanitarnej akcji odgrywa król Etiopii, który stworzył nawet specjalne ministerstwo dla walki z

niewolnictwem, a ministrem został b. ambasador Etiopii w Rzymie.

Ale nie tylko Afryka jest terenem handlu niewolnikami. Te nieprawdopodobne transakcje mają miejsce także i w Chinach, a szczególnie w Hong - Kong. W Chinach bowiem życie ludzkie nie przedstawia najmniejszej wartości i jest poprostu takim samym towarem, jak ryż czy herbata. Importerami towaru ludzkiego są również czarnoskórzy jak i żółtoskórzy niewolników, są niektóre kolonie w Ameryce Południowej.

PIRACI

Transport niewolników nie jest rzeczą łatwą. Handlarze posiadają specjalnie szybkie statki, które pozwalają im uniknąć niebezpiecznego ześnięcia się ze statkami brytyjskimi, czuwającymi przy wybrzeżu. Szlak wodny transportu ludzkiego towaru wiedzie przez morze Czerwone, między Suakin a Jidda. Oprócz marynarki angielskiej czuwają także przy wybrzeżach statki włoskie i francuskie. Jest to poprostu miedzyrodowa akcja, mająca na celu wyeliminowanie tego hanbiącego XX stulecie handlu. Tymczasem jednak schwytywanie piratów przewożących ludzki towar jest dość trudne. Pośladają oni statki, które mogą robić ponad 15 węzłów na godzinę, a ponadto posiadają także swoją specjalną służbę wywiadowczą, która informuje ich dokładnie, kiedy jest najbezpieczniej przewozić transport. Niektóre plemię na trudniące się handlem niewolnikami, jak np. t. zw. „czarni Eysah”, posiadają całą flotę, kursującą na linii Bab - el - Mandeb, a portami, w których wyladują towar, są: Obok i Tajourah. Plemię to jest tak zuchwałe i tak przedsiębiorcze, że rzadko kiedy udaje się ich schwytać i według opinii jednego z oficerów marynarki angielskiej, który specjalnie zajmuje się trapieniem Eysahów, przewożą oni rocznie około 5.000 murzynów, przeznaczonych na sprzedaż.

NA PEŁNEM MORZU

Kiedy wreszcie udało się natopkać jeden ze statków, należących do Eysahów, okazało się, że statek zaopatrzony był w dwa pokłady, na których, na umieszczonych poprzecznie ławach siedzieli skuci łańcuchami czarni niewolnicy. Było tam około 250 murzynów. Napotkany statek odpowie-

dział na sygnał statku angielskiego silnym ogniem działowym, a następnie podwoiwszy szybkość, odplynął w kierunku Arabji. Statek angielski telegrafował o pomoc, jednak zanim ta nadeszła, piracki statek zniknął na widnokręgu.

DZIEWCZYNA ZA 12.000 FRANKÓW

Również silnie rozwinięty jest handel niewolnikami na terenie Arabji. Trzeba jednak dodać, że Arabowie są względnie ludzcy wobec swoich niewolników i nie przeciążają ich zbytnio pracą. Posiadanie niewolnika stanowi tam raczej dowód zamożności i to prawdopodobnie sprzyja ich dobremu traktowaniu. Liczbę swoich niewolników Arabi powiększają w ten sposób, że koczując małżeństwa wśród swoich niewolników, a zrodzone z tych związków dzieci stają się, według prawa religijnego „Sharia” — także niewolnikami.

Centrum handlu czarnym towarem w Arabji jest Mekka. W jednej z dzielnic istnieją specjalne sklepy, w których można nabywać niewolników. Przed sklepem i wewnątrz sklepu siedzą na ławach ludzie wystawieni na sprzedaż. Można przyjść, obejrzeć towar i potargować się. Ceny towaru są różne — zależnie od wartości. I jak zawsze, największą cenę mają: siła, młodość i uroda. Młoda, ładna, zdrowa dziewczyna murzynska kosztuje do 12.000 franków, natomiast stare, słabe kobiety lub mężczyźni sprzedaje się po 300 lub 400 franków. Dzieci — po 600 — 700 franków.

Tak wygląda w XX stuleciu cennik czarnego towaru ludzkiego...

Malaria będzie wyeliminowana

Odkrycie angielskiego lekarza

Z Cejlonu przepięknej wyspy, rajem ziemskim, ale trapieną przez straszną plagę malarji podzwrotnikowej, nadchodzi wieść o odkryciu środka przeciw zabójczej chorobie, która dziesiątkuje krajowców. Odkrywcą nowego środka jest młody lekarz angielski, dr. Simeons, który stosował go ze znakomitym skutkiem w szpitalu miejskim w stolicy Cejlonu, w Colombo. Środek ten nazwany przez odkrywcę „Atetrin-Aluzonot” działa podobno radykalnie i przywraca zdrowie cho-

Przed kilku dniami w Paryżu miał miejsce ciekawy proces. Choć dokończony jest, aby ekmałżonka księcia Coloredo - Mansfeld nosiła jego nazwisko, gły prawo do tego nazwiska przysługuje już obecnej małżonce.

Nazwisko księcia Coloredo - Mansfeld posiada i stara piękna historia. Sam książę, obecnie 67-letni gentleman urodzony w Pradze, jest paryżaninem gdyż zamieszkuje w stolicy od 24 roku życia i jest niezmiernie popularną osobistością w Paryżu. Tenże właśnie starszy, dystyngowany pan, poślubił w r. 1903 pewną urodzoną Angielkę nazw. Smidt. W 22 lata później małżeństwo zostało rozwiązane, a rozwiedziona księżna de Coloredo - Mansfeld, zwolniona z więzów małżeńskich, zaczęła wieść bez troski i rozkoszy żywot zaszczycając swoją obecnością wszelkiego rodzaju balety i zabawy. Była gwiazdą walekiego świata. Wszystko byłoby pięknie, i fakt, że eks - małżonka zatrzymała nadal nazwisko Coloredo - Mansfeld nie byłoby poruszane na

Portjer robot

Przed wejściem do jednego z największych kin w Nowym Jorku umieszczono robota pełniącego funkcję portjera. Z chwilą gdy ktoś z wchodzących stanie na pierwszym stopniu szerokich schodów prowadzących do drzwi, portjer-robot zdejmując czapkę, otwiera drzwi i głośno zaprasza do wejścia. Po zmontowaniu robota zauważono, że frekwencja znacznie wzrosła, sporo ludzi chciało przekonać się, jak pracuje automa-

Coloredo - Mansfeld zapalał gorącym afektem do pewnej urodzonej paryżanki, pani Jonquet i — jak zwykło się mawiać w starszych wiekach — złożył u jej stóp swój majątek i swoje książęce nazwisko. W ten sposób w Paryżu, w eleganckim świecie słyszało się nazwisko Coloredo - Mansfeld coraz częściej, gdyż i druga księżna prowadziła ożywione życie towarzyskie i uczestniczyła w całym szeregu imprez. Ponieważ z tego powodu wynikały nieporozumienia o którą właściwie księżnę chodzi, księżna de Coloredo - Mansfeld nr. 2 nakłoniła swego małżonka, aby zabronił swojej pierwszej żonie używania tytułu i nazwiska.

I oto w sądzie paryskim rozegrała się ciekawa sprawa — czy mogą istnieć jednocześnie dwie księżne de Coloredo - Mansfeld.

Sąd nie znajdując podstawy do pozbawienia pierwszej małżonki prawa używania nazwiska jej b. małżonka, — skargę księcia oddalił i wobec tego, dwie księżne de Coloredo - Mansfeld nadal błyszczą w eleganckim świecie Paryża, a Paryż oczekuje nowego skandalu, gdyż księżna nr. 2 zapowiedziała, że stanowczo nie dopuści do tego, aby jakiegokolwiek oprócz niej przysługiwało prawo do korzystania z nazwiska. Dystyngowany, starszy pan — książę de Coloredo - Mansfeld zgłosił na skutek energicznej interwencji swej żony apelację i jeszcze raz będzie usiłował pozbawić księżnę de Coloredo - Mansfeld nr. 1 — prawa do starożytnego nazwiska.

Dług spracony po 50 latach

Rekordem uczciwości można nazwać śmiało uczynek niejakiego Martina Hoerda, który po 50 latach spłacił dług, wynoszący wszystkiego 2 szylingi. Wierzytel jego, pewien kupiec londyński, otrzymał w tych dniach przekaz pocztowy z następującym dopiskiem: „Drogi panie, sprawia mi prawdziwą przyjemność, iż mogę mu dzisiaj przekazać dwa szylingi, które przed 50 laty pożyczę od ojca pańskiego. Załączam ukłony i sądę, że pieniądze otrzyma pan we właściwym terminie”. Odbiorca był mocno zdziwiony przytłaczając, gdyż ojciec jego zmarł przed kilkunastu laty, a o długu on sam nie wiedział.

Antoni Marczyński

69)

Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

Baterję kapitana Torrance'a dzieliło najwyżej dwieście kroków od tego cmentarza, kiedy zaczęły rozgrywać się nieprzewidziane wypadki.

— Co to? — Stephen wskazał ręką przed siebie.

Na drodze, u szczytu pagórka ukazywały się trzy konie bez jeźdźców, za nimi kilku spahisów konno, ale już bez karabinów, którymi przed chwilą potrząsali tak wojowniczo, a potem reszta oddziału, lecz w jakimś nieladzie! Z dwóch szwadronów jadących przedtem w karnych szeregach utworzyła się teraz beładna wataha, pędząca cwałem wzdłuż całej szerokości drogi, ba, także wzdłuż gościnną polami.

— Tam wyżej... patrzcie, patrzcie, samolot!

Turkot tyłu ciężkich kół zagłuszył wycie zmykających Arabów i odległy łoskot silnika samolotu, który właśnie wychynął spoza pagórka.

— Głupi aeroplan tak nastraszył tych bohaterów.

Ryk śmiechu przebiegł wzdłuż całej kolumny wojska. Nie przeobraziło to nikogo, że to jest prawdopodobnie samolot nieprzyjacielski i żartowano sobie głośno z tchórzostwa spahisów. Bowiem we wrześniu roku 1914-go lotnictwo wojskowe było jeszcze w powijkach. Samoloty nie rzucały bomb, nie prażyły ogniem kulomiotów, pełniły niemal wyłącznie służbę wywiadowczą.

— Koledzy, proszę o przyjemny wyraz twarzy — rzekł Stephens żartobliwie, — nie ulega wątpliwości, że ów latający fotograf zdejmuje nas także i nasze fizjonomie zadebiutują w jakimś ilustrowanym tygodniku boszów.

Okazało się jednak, że niemiecki „Fokker”, który samem swem ukazaniem się i wściekłym łoskotem silnika napędził tyle strachu kawalerzystom afrykańskim, niósł już coś innego, zamiast niewinnych klisz fotograficznych.

Kalkucki pułk nie zatrzymał się ani na chwilę dotychczas, chociaż wszyscy mieli głowy zadarte do góry i gapili się na samolot. Wszyscy, prócz jednego oficera. Jack Stephens „chorował na przeziębienie gruczołów humoru”, jak mawiał o sobie; wolał więc teraz patrzeć na spahisów, których „warczący ptak” właśnie dopędził na gościnną i którzy w panicznej trwodze rozproszyli się na wszystkie strony po okolicznych polach.

— Robercie, — odezwał się, a jechali obecnie z Wilkinsem strzemiem w strzemię, — odkryłem jeszcze jedną zaletę wojny. Ona jest autorką kapitalnych fars, naładowanych komizmem sytuacyjnym.

— Obawiam się, że w znacznie większej mierze jest sprawczynią ludzkich tragedji.

— Eeech, nie widzieliśmy tu jeszcze ani nawet melodramatu, a ty odrzuć z tragedjami wyjeżdżasz. Spójrz lepiej na dzielnych synów proroka, jak spadają z koni i kryją się w konopiach. Czy to nie farsa?

Zanim Robert zdążył coś odrzec, do czoła kolumny dobiegł ich wielki ryk bólu, potem drugi, trzeci, dziesiąty, potem przekleństwa francuskie wrzaski, nawoływania i nagle cały bataljon piechoty poszedł w ślady spahisów o tyle, że uciekł z gościnną. A samolot, szubujący wciąż ponad szosą, zbliżał się chyżo, już płynął nad pierwszą baterją.

— Spójrzcie! Jakby małeńkie igielki, prawda?

Tylko Robert miał tak bajeczny wzrok, że mógł hen, w górze dostrzec owe „igielki”, spadające nieprzerwanym szeregami z przestworzy.

W pierwszej baterji zabrzmiły krzyki, jęki, złorzeczenia i bar-dziej przejmujący, niż to wszystko razem, kwik ranionych koni; to

samo powtórzyło się w drugiej baterji, w trzeciej, potem w drugim dywizjonie. Nieznane niebezpieczeństwo podchodziło szybko ku miejscu, gdzie stali Robert i Jack Stali, gdyż zabicie paru koni z pierwszego zaprzęgu unieruchomiło narazie cały pułk.

— Niemiec rzuca jakieś pociski, — mruknął Wilkins, — ale czemu nie słychać detonacji?

— Zagadka, — odparł Stephens z uśmiechem, — wojna także musi mieć swoje małe tajemnice.

Nie skończył. Jak gromem rażony zwalił się z konia. Równocześnie jego wierzchołkiem stanął dęba, skrzęcił, przesadził rów przydrożny i pomknął jak szalony przez kopiec, wlokąc za sobą niebezpiecznego jeźdźcę, któremu noga została w strzemienniku.

A samolot szubował dalej, wciąż ponad prostym gościnnem, dopóki nie minął ostatniego zaprzęgu. Dopiero wtedy zmienił kurs, zatoczył duże koło, zawrócił i znowu zawisł nad drogą, znowu chciał ją pokropić deszczem tajemniczych pocisków. Ale tym razem nie czekano na niego z założonymi rękami. Kto żył, zmykał z szosy w konopie i stamtąd parł w skrzydlatego wroga kulami aż grzmiało; Anglicy beładnie, Francuzi, którzy już zdążyli ochłonić, salwami. Ta strzelanina zagłuszyła metaliczne dźwięki i zgrzyty armat, na które posypał się grad owych „igiel”, zgłuszyła kwik dalszych pięciu rumaków, okaleczonych strasliwie. Ta strzelanina jednak nie wyrządziła lotnikowi żadnej krzywdy: wyczerpawszy zapas swoich pocisków, sfotografował pobojowisko i odplynął spokojnie w kierunku wschodnim.

Straty, jakie kalkucki pułk odniósł przy tym „chrzcie ogniem”, były nieznaczne, zaledwie pięciu ludzi i trzynaście koni, którym skrócono męczarnie kulą w łeb. Niemniej jednak pozostało faktem niezaprzeczonym, że przez pół godziny jeden człowiek trzymał w szachu dwa szwadrony jazdy, bataljon piechoty i pułk artylerji, że jeden człowiek zdołał powstrzymać pochód tak potężnej kolumny wojska

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.90 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dzw. polityczny i ekonomiczny); 6.66.61 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.53 (miejscowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 4 — 6 pop.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Rząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto r. k. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefy 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Wrocław, Czerwona 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa wraz z cotygodniowym dodatkiem literackim „Prosto z Mostu” zł. 2.90 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.90 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy. Reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Fedeusz Ucieczyński.